

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

27

Błyskawicznym ruchem Wiliam Perkins pochylił się i widocznie dojrzał natychmiast odciski stóp ludzkich, bo siedzi zgarbiony i zapatrzonej kilkanaście metrów. Gdy się wyprostował, pogroził pięścią Johnniemu, tak, jak gdyby on tylko całą winę ponosił. Gdy doszedł do zakrętu, raz jeszcze zbadał skrupulatnie drogę, porwał czapkę z głowy i zagłębił tragicznym ruchem wszystkie palce we włosach. Poczem chciał udać się na lewo i rozkazał Johnniemu wybrać prawą stronę, lecz wkrótce rozmyślił się. Może lękał się sam pozostać, lub też nie bardzo do wierzał odwadze towarzysza, gdy ten znajduje się oko za okiem za zbiegami. Śledził więc dalej, trzymając przy sobie Johnniego, i idąc raz w prawą, drugi raz w lewą stronę. Na chwilę zniknęli w gąszczach — poczem ukazali się znowu na przykopie, gdzie wyleżeli na drzewo, badając okolicę przez polową lunetę.

Jan le Kerlack i fakirzy, doskonale ukryci, z poza drzew przypatrywali się tym manewrom. Zwierzyna wyprowadziła strzelców w pole.

Wiliam Perkins objawiał krańcową rozpacz! Zapełniał wzywał na świadka swojej porażki zacnego i czcigodnego króla Edwarda i królowę Anglii, cesarżową Indyi! Musiał wyrzucić z siebie jakieś straszne wyrazy, bo głos jego donośny dochodził aż do lasu, a dobroduszną twarz Johnniego przybierała coraz smutniejszy wyraz. W końcu ze spuszczoną głową Wiliam Perkins powrócił do automobilu i wdał się w rozprawę z Johnnim i szoferem. Rozłożył jakąś mapę, nad którą się wszyscy trzej zgodnie pochylili i teraz nastąpił decydujący moment. Czy jechać dalej, przed siebie, ku granicy, czy powracać tą samą drogą!

Zanim jednak powzięli stanowcze postanowienie, poszli jeszcze obejrzyć trumnę. Wtedy z ust Faliaka wybiegł zduszony okrzyk zgrozy! Bo może oni znajdą to, czego on tak szukał! Cenną torbę z papierami?! A te papiery nie miały żadnej wartości dla władzy angielskiej, tylko dla niego, fakira i dla... księcia Kiwani! Ale detektywów nie dręczyła na razie niepotrzebna ciekawość. Zadowolnili się przymknięciem trumny i przeniesieniem jej na swój automobil. Długą chwilę przetrząsali jeszcze szczątki spalonego automobilu — a w końcu odjechali ku wschodniej stronie.

— Doskonale! — zawołał na cały głos Jan le Kerlack, którego już to przymusowe milczenie. — Aleśmy im dopiekli do żywego! Niech żyje wolność! Ładnieśmy im uciekli z przed nosa!

Jednakże Jan le Kerlack nie potrzebował się obawiać pościgu policyi angielskiej! Prędzej już francuskiej, która w tej chwili napewno go poszukiwała! — Lecz temu dzielnemu człowiekowi nie chodziło o własną skórę. — Zadaniem jego życia było poświęcić się wiecznie dla drugih! Na razie „ci drudzy“, to dwaj biedacy, zdani na jego łaskę.

— Będą was poszukiwać w Alzacji, w Niemczech! — wołał Jan le Kerlack — Doskonale! A my dziś wieczorem jeszcze będziemy na szwajcarskiej ziemi!... panowie fakirzy, czcigodni pielgrzymi! Tylko pozwólcie mi wysłać telegram, nie... nie... list zwyyczajny do mojej rodziny, która się musi mną bardzo niepokoić! a potem nie opuszczam was, aż was zawiadę w bezpieczne miejsce... to jest tam, skąd zechcecie w dalszą udać się drogę!...

Wszyscy na morzu.

Nie było jeszcze podróży tak przyjemnej i wesolej, jak ta, która się odbywała na „Indianie“, szczególnie odkąd przepłynięto już Morze Czerwone. Bo Morze Śródziemne było trochę niespokojne i bałwany raz po raz biły w okręt, usposabiając niekorzystnie pasażerów i narażając niektórych na nieprzyjemne dolegliwości! Natomiast całe wybrzeże Arabii dało szereg malowniczych widoków opromienionych blaskami złotego jaskrawego słońca, co tworzyło niezwyklej kontrast z ciemnym stalowym kolorytem morza. Gorąco jednak było tak wielkie, że pasażerowie nie mieli ochoty do zawierania znajomości; dopiero gdy na Oceanie Indyjskim powiał orzeźwiający wiaterek, gwaro zrobiło się na pokładzie i w kabinach. Okręt stał się podobny do małego miasteczka, gdzie wszyscy się znali, i gdzie miano rozrywki różnorodnej. Bawiono się również w salonach i ja-

dalniach, jak i na pokładzie, który ze swoimi stolikami, fotelami i małymi schodkami, owijającymi się dokoła maszyny przy tyle i przodzie okrętu, czynił wrażenie małego, dobrze utrzymanego parku.

Towarzystwo było różnorodne i pomiędzy Europejczykami, przewijali się Japończycy i Chińczycy, niektórzy w malowniczych narodowych strojach. I pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi różnych narodowości i cywilizacji, zawiązywały się chwilowe nici szczerych sympatii, przyjaźni... i flirtu, nie pozbawionego melancholijnego nastroju. Niektóre z nich bowiem miały się już zerwać w Ceylonie, gdzie część pasażerów wysiadła, aby już pozostać w Południowych Indyach lub też przesiąść na inne okręty, które miały ich zawieść do Indyi Wschodnich.

Już w Colombo ludność „Indyany“ przybrała charakter napół indyjski, napół angielski. Było za ledwie kilku Francuzów, którzy wysiedli w Mandras. Na maszcie zatknięta była flaga księcia Kiwani, obok flagi o narodowych barwach Anglii.

Księżę Kiwani powracał bowiem do kraju, wraz ze swoją przyboczną eskortą dosyć liczną, bogatą i dworem, który się jeszcze powiększył w Colombo przez dwie deputacje z ministrami na czele, które przybyły powitać swojego władcę.

Ale na tym egzotycznym dworze zachowano po części obyczaje europejskie. I zaraz ministrowie indyjscy poznali, że muszą obdarzać najwyszukańszymi względami sławnego uczonego, doktora Gewolskiego, który przez przywiązanie dla księcia Kiwani opuścił dobrowolnie wspaniałą sytuację, jaką sobie wyrobił nie tylko we Francji, ale w całej Europie. I należało również okazywać wiele sympatii synowi jego, młodemu Stanisławowi, wybitnemu literatowi i prawnikowi, który nie zawahał się ani na chwilę i pospieszył towarzyszyć ojcu, opuszczając wysokie stanowisko we Francji. Miał on osiedlić się już w państwie księcia Kiwani i poświęcić mu swoje zdolności i naukę.

Księżę Kiwani jednak nie zdradził przed swoimi ministrami roli politycznej, jaką miał doktor Gewolski odegrać w jego kraju. Oficjalnie uczynił go tylko ministrem wszech nauk lekarskich z zadaniem wyparcia z kraju kłeski, która tak często go nawiedzała: dżumy i cholery! Gewolski mógł więc znowu uważać się za zwycięzcę, po tragicznych wypadkach we Francji, które omal go nie pokonały.

Gdy jednak dobiegła go wieść o wypadku automobilowym w lesie Villers-Catterets — niepokój już uśpiony, obudził się w nim na nowo. Trwało to krótką chwilę. — Zaczął sobie tłumaczyć, że trumna lakowa musiała się otworzyć najnaturalniejszym sposobem, a skoro nie znaleziono trupa człowieka, którego miał już za umarłego — to widocznie tenże w własnym interesie zbiegł i musiał się gdzieś bezpiecznie ukryć.

Nie miano o nim dotąd żadnych wiadomości, gdy tymczasem doniesiono o przejściu dwóch fakirów przez Szwajcaryę do Tyrolu, gdzie już ślad po nich zaginął...

Telegraficzne te wiadomości, podane były w dziennikach w dniu, w którym „Indiana“ opuszczała Marsylię.

Gewolski przypuszczał, że albo Piotr Moreau dogorywa gdzieś w nieznanym zakątku — lub też co prawdopodobniejsze, ukrywa się przed władzami francuskimi, tak, jak fakirzy przed angielskimi.

To ostatnie przypuszczenie stwierdzał zupełny spokój, panujący w całej rodzinie Morełów, bardzo jak wiedział przywiązanej do zaginionego.

Szczególniej na twarzy Stanisława malowała się tak szczera i naiwna pogoda duszy, że musiałby być chyba artystą w symulacji i hypokryzji, gdyby to okazało się tylko komedią. Przy wyjeździe z Paryża Stanisław nie zdradził się z najmniejszym nieposłuszeństwem i podczas całej podróży z Paryża do Marsylii, którą Stanisław wraz z ojcem przebywał w salonowym wagonie oddanym do usług władcy indyjskiemu — Gewolski był zapewne zadowolony ze syna.

— Rozsądny jest — myślał Gewolski — zrezygnował widocznie z tych nedorzecznych zamiarów.

Przyczyna tego wyjątkowego zachowania się Stanisława wyjawiała się dopiero na pomoście okrętu „Indiana“, gdzie Gewolski ku swojemu zdumieniu ujrzał starego Morela, w towarzystwie córek i gdy usłyszał z ust księcia te słowa:

— Mój kochany doktorze! Będziemy od tej chwili przebywali w towarzystwie tych sympatycznych Paryżanek!

Pośród tych wszystkich osobistych niepokojów, nurtujących go do chwili wyjazdu — Gewolski zapomniał był o fantazji rozkapryszonej księżniczki Kity. — Spojrzenie doktora machinalnie poszukało twarzy syna, spojrzenie, które miało być surowym

wyrzutem, ale na szczęście Stanisław oddalony był o dwadzieścia kroków, gdzie pilnował rzeczy, które miano wnieść na pokład. Gdy powrócił do ojca, tenże zdołał już stłumić w sobie pierwszy wybuch gniewu.

— Chciano mnie podejść — szepnął do siebie — skorzystać z nadarzającej się niezwyklej sposobności... a no, zobaczmy!... Zobaczmy, czy zdołają go zmusić do jakichkolwiek ustępstw!

Zachciało się księciu indyjskiemu sprowadzić do kraju nadwornego malarza Francuza, tak jak to czynił król Franciszek I sprowadzający do państwa malarzy różnych narodowości. A księżniczka Kita zapragnęła towarzystwa panny Lusi Morel, tak jak dziecko pragnie nowej zabawki! Owszem! byli dosyć bogaci, aby sobie na takie fantazje pozwolili! Cóż to w końcu mogło obchodzić doktora Gewolskiego?

Nie było w tem również nic dziwnego, że panna Fernanda otrzymała w swoim biurze urlop i zechciała odwiedzić swoją młodszą siostrę. Fernanda zresztą nie należała do małego dworu księżniczki Kity, choć ją usilnie o to prosił sam książę, olśniony urodą i dumną postawą młodej dziewczyny. Fernanda podziękowała uprzejmie za zaszczyt, mówiąc, że nie popełniłaby nigdy podobnej niedyskrecyi, że chce na okręcie pozostać wolna i nikogo sobą nie ma zamiaru krępować! Pragnie tylko być w bliskości ojca i siostry, w razie gdyby które z nich zachorowało i potrzebowało jej pomocy.

I jak tylko okręt wypłynął z portu, Fernanda uściłką Lusię i pana Morela i udała się do swojej kabiny, skąd wychodziła rzadko i na małą tylko chwilę. Rano i wieczór rzuciła im przelotny pocałunek, czasem w ciągu dnia zamieniła kilka słów, pozostawiając ojca księciu, a siostrę księżniczce Kicie, która teraz bez niej obejść się nie mogła, tak jak niegdyś bez miss Ewangeliny Goldenspeech.

Księżę zaś, o ile nie był zajęty politycznymi sprawami ze swoimi ministrami, lub naukową rozmową z doktorem Gewolskim, zabawiał się doskonale w towarzystwie starego malarza, którego dowcipy i porwy artystyczne bardzo polubił.

Malarz Morel szybko wracał do zdrowia po doznanych wstrząśnieniach. Uwielbiał morze na równi z dostatnim bufetem okrętu, który odwiedzał dosyć często.

Na okręcie więc panował pozornie zupełny spokój, tak, jak i na morzu. Dnie upływały na wesółych rozmowach i ucztach, na muzyce, śpiewie i tańcu! A ponieważ to wszystko bawiło księcia Kiwani, doktor Gewolski, jako układowy dworzanin, udawał, że i jego również to bawi i uśmiechał się uprzejmie, gdy książę żartował z syna jego Stanisława, którego nadskakiwanie ładnej towarzysze księżniczki stało się dla wszystkich widoczne.

Niekiedy władca uśmiechał się filuternie i mówił do Lusi:

— Zdaje mi się, że znalazłem sposób, aby panią na zawsze zatrzymać w moim państwie.

A Lusie wtedy miała minę bardzo zdziwioną i zdawało się, że nie pojmuje żartów księcia. Tą samą taktykę przybierał Stanisław, co Gewolskiego doprowadzało do napadów bezsilnej wściekłości.

— Te smarkacze drwią sobie najwidoczniej ze mnie — mówił do siebie. — Ale zobaczmy, czy to długo potrwa!

Stosunek tych dwojga młodych był najczęstszym tematem rozmów doktora Gewolskiego z księżną Sahadzą, rozmów prowadzonych w tajemnicy i ukryciu. Gewolski czynił swojej kochance gorzkie wyrzuty za jej pośrednictwo i namówienie pani Morel, aby dała swoje pozwolenie mężowi i córkom na tę podróż. Stało się to bez wiedzy Gewolskiego, w tym dniu dla niego tak pamiętnym, kiedy wśród gorączkowych przygotowań do podróży, lękał się, że lada chwila ujrzy w swoim mieszkaniu ironiczną i pewną siebie twarz Piotra Moreau!

Co to za pomysł, aby sprowadzać tego starego bazgracza z córkami do Kiwani? A tak łatwo można było o nich zapomnieć, i skorzystać z pośpiechu, w jakim organizowała się ta podróż i pozostać tych ludzi we Francji! Ale księżna Sahadzi, która wobec Gewolskiego umiała zawsze zachować swoją wyniosłą niezależność, odpowiadała na te zarzuty zimno i spokojnie. Mówiła, że działała w tym kierunku jedynie ze zrećznością polityczną, na której skorzystać mogli podwójnie. Trzymała bowiem w rękach całą rodzinę Morel, jako okup, w razie gdyby zechciało się Piotrowi Moreau raz jeszcze wmieszać się w nie swoje sprawy — a przytem jej to księżniczka Kita zawdzięczała towarzystwo tych ludzi.

Chwile, w których księżna Sahadzi porozumiewać się mogła ze swoim współnikiem, były bardzo nieliczne; a nawet w tych krótkich chwilach swobody czuli się skrupowani i szpiegowani. Raz, gdy wsparci